



Tom I

Awanturnicy

Mateusz Juszczak

Awanturnicy

Mateusz Juszczyk

Tom I

Wersja demonstracyjna



PSYCHOSKOK

Mateusz Juszczuk
„Awanturnicy” Tom I

Copyright © by **Mateusz Juszczuk**, 2019
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2019

Wydanie II poprawione

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Wioletta Tomaszewska**
Skład: **Jacek Antoniewski**
Projekt okładki: **Robert Rumak**
Korekta: **Paweł Markowski**
Ilustracje na okładce: © **Africa Studio – Fotolia.com**

ISBN: 978-83-8119-630-7

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Prolog

Rok 1647

Tego mroźnego wieczoru siedział w tawernie, popijając kolejny kufel rumu. Co mu pozostało? Zimą okrętów nie budowano, a i tak w ciągu roku marnie zarabiał, bo król zbroił armię na południu, gdzie zanosilo się na kolejną wojnę z Kozakami. Teraz potrzebne były kopie i wielkie białe skrzydła. Tutaj w Gdańsku było spokojnie, chociaż o jego życiu tego nie można powiedzieć. Nadciągały nad nie czarne chmury. Obawiał się. Dużo przeżył i wiele przykrości miało go spotkać. Tak sądził, dlatego siedział na ławie i patrząc na starego marynarza, który stracił oko w bitwie pod Oliwą, zastanawiał się co dalej. Tamten marynarz stracił oko, bo przeżył przygodę swojego życia. Wszyscy słyszeli w Gdańsku o Bezokim Gustawie. Wiele lat przesłużył w polskiej marynarce. I aż dziw, że nigdy nie awansował. Ale po co komu awanse? – zapytał siebie. – Ważne, by mieć za co przeżyć. Nasz bohater mógł wiele stracić i wiele zyskać, nie wiedział tylko jak pokierować swoim życiem. Teraz, kiedy stracił pieniądze i źródło zarobku, obawiał się, że niedługo nie będzie go stać nawet na porządny żupan. Pieniądze będzie musiał zostawić na pożywienie. A może to ktoś powinien nim pokierować? Nerwowo trzaskając palcami o stół rozmyślał i łyknął kolejny raz trunku.

Marcin Seradzki, bo o nim tu mowa, miał w tamtym okresie około trzydziestu dwóch lat. Miał za sobą kilka nieudanych związków. Nigdy nie poznał tej jedynej kobiety i wątpił w to, że jeszcze się kogoś uda mu znaleźć. Praca dla niego się

skończyła w Gdańsku, a on przesiadywał wieczorami w tawernach, natomiast w dzień opiekował się śmiertelnie chorym wujem. Poza nim nie miał nikogo. Problemy mnożyły się jak wcześniej wspomniane czarne chmury. Mroźny wieczór był odzwierciedleniem tego, co trzymał w swoim sercu Marcin. Wcześniej nie miał takich problemów. Należał do osób zdecydowanych i pewnych siebie. W końcu to pozwoliło mu osiągnąć wiele. Wiele, ale nie coś, co dałoby mu rozwinąć skrzydła. Nie znał rodziców, a wuj mu nigdy o nich nie opowiadał. W ogóle nikomu sam o sobie nie mówił. Ludzie tutaj uważali go bardziej za dziwaka. Widzieli jak wspaniałe okręty potrafi budować, ale mimo to jego marzenia o odległych łądach nikogo nie interesowały. Woleli słuchać o dalekiej i mroźnej Rosji, o carach i o tym, co działo się na południu. Bo to tam oczy wszystkich spoglądały w owym okresie. Tatarzy byli ciekawsi. Nie marzenia o odległych koloniach angielskich i holenderskich, których Rzeczpospolita nie posiadała, bo król i szlachta myśleli raczej o najejaniu Turcji z pomocą Kozaków zaporoskich, aniżeli o budowie floty. To dlatego Marcin się tutaj marnował. Razem z całą jego wiedzą. Nie chciał zabijać na wojnie za pieniądze. Nie, póki ktoś o nim nie usłyszy.

Karczmarz podszedł do Marcina i zabrał pusty kufel po rumie. Wydawało się, że weźmie go i odejdzie, ale on zatrzymał się i przysiadł z drugiej strony. Pogładził się po głowie, odłożył kufel z powrotem na stół i zapalił fajkę. Ryszard, właściciel karczmy, był przyjacielem Marcina i jego wuja. Interes się kręcił, a on sam nie narzekał na brak klientów. Nosił stare łachy, jak na karczmarza przystało. Ludzie opowiadali sobie, że nie sypiał w nocy. Tawerna otwarta była całymi dniami. I z nikim się nie zmieniał. Sypiał na ławie, a jak ktoś przychodził to wstawał i uśmiechem przyjmował zlecenia. Lubił także zapalić, tak jak w tamtym momencie. Tytoń zniszczył mu zdrowie,

ale on się tym nie przejmował. Mężczyzna miał tendencję do tycia. Mało snu, dużo tłustych potraw i się doprawił. Marcin opowiadał mu, że jeśli nie przestanie prowadzić takiego trybu życia to się wykończy. Ale Karczmarz się tym nie przejmował. Często go to nawet obrażało. Nie odzywał się do Marcina przez kilka dni, ale zawsze potem się dogadali.

Powietrze zadymiało się od tytoniu. Nawet pan szkutnik zakaszlał głośno, ale nic nie powiedział. Przyzwyczaiał się do tego, że pierwsze co zrobi jego przyjacielski właściciel budowli, to siądzie obok, wyciągnie fajkę, zapali i wypuści z ust dużą ilość dymu w powietrze. Karczmarz, spoglądając na wychodzącego szlachcica, który nałożył na głowę kołpak, zwrócił się do Marcina:

– Obudził się? – spytał, a na myśli miał wuja Marcina, legendarnego husarza, który sławę zdobył pod Kircholmem za młodu. Potem jeszcze szarżował pod Gniewem i Tczewem. Ludzie go szanowali, mimo burzliwej przeszłości.

– Źle z nim, bardzo źle! Obawiam się, że przyszedł jego czas! W końcu ma już swoje lata. Ale co ja teraz mam zrobić? Ja znam się tylko na budowie statków. Jeśli tak dalej pójdzie, to nie będę miał co do ust włożyć. Ciężko mi jest teraz wiązać koniec z końcem, a co będzie, kiedy on umrze? Powiem ci. Ja też umrę, żebrząc o pieniądze napotkanych ludzi.

Karczmarz podrapał się po brodzie, zaciągnął się fajką i znowu wypuścił z ust dym, który rozniósł się po tawernie. Marcin zasłonił twarz przed dymem i rozejrzał się dookoła. Do tawerny wszedł wysoko postawiony mężczyzna, a przynajmniej tak zaczął od razu sądzić, bo wraz z nim pojawiło się sześciu dobrze uzbrojonych żołnierzy. Z wyglądu przypominali rajtarów. Nosili na sobie kirysy, a w dłoni trzymali muszkiety, które oparli o stół, przy którym się usadowili. Przewodzący im człowiek ściągnął pas z szablą w pochwie i położył broń na ławę. Każdy z nich chwycił za rapier kiedy siadał. Grubo

odziani panowie strzepali resztki śniegu z płaszczy i zasiedli do stołu. Karczmarz, widząc gości takiej skali, podał fajkę Marcinowi i udał się do nich biegiem. Każdy z nich zamówił dużą pieczeń i kilka kufli piwa. Właściciel od razu spełnił ich żądanie. Pobiegł po pieczeń, a potem od razu przyniósł kufle z trunkami o które prosili. Zajadali, głodni, ale w każdym tego słowa znaczeniu. Musieli przebyć długą drogę, bo pieczeń zjedli w niecały kwadrans, a była ona naprawdę duża. Trunki też im smakowały, bo poprosili o dokładkę. Marcina zaciekał jednak ich język, którego on sam nie znał osobiście. Niemiecki? – pomyślał Marcin.

Marcin, spoglądając na nich, zaciągnął się fajką i zamierzał już wychodzić, kiedy zobaczył karczmarza niosącego kolejny kufel rumu dla niego. Na początku chciał odmówić. Chciał usprawiedliwić się chorym wujem, do którego już musiał wracać. Ale po chwili namysłu uznał, że jeszcze jeden kufel nie zaszkodzi. Karczmarz położył na ławie trunek i przesunął w jego stronę.

– Ale goście! – oznajmił. – Przeca to sam Jakub Kettler nas zaszczycił swoją obecnością. A widziałeś ile koni jest w stajni? Razem przybyło ich z pewnością dwudziestu. Dwudziestu rajtarów w mojej tawernie – oznajmił z uśmiechem.

– Ja tu widzę sześciu i Kettlera – zaśmiał się Marcin, ale nie ukrywał zdziwienia, że sam pan książę Kurlandii i Semigalii zaszczycił Gdańskie progi.

W końcu to prawda. Było ich razem siedmiu przybyszy. Karczmarz zastanowił się chwilę i podszedł do stolika ze specjalnymi gośćmi. Chwilę rozmawiali, a nawet długą chwilę, bo Kettler wypytywał o coś karczmarza. Marcin zdążył już wyłopać kolejny kufel i sięgnął po kapelusz. Na zewnątrz zimno było, a i śniegiem zaczynało sypać. Do domu też miał spory kawał drogi, dlatego z niechęcią musiał wracać. Tutaj w tawernie było ciepło, które biło od wielkiego kominka przy

końcu pomieszczenia. Czekał tylko żeby się pożegnać ze swoim przyjacielem, który jako jeden z niewielu rozumiał tutaj jego marzenia i problemy życiowe. Ale te problemy życiowe jakoś musiało się dać rozwiązać.

Potem spojrzął na marynarza spod Oliwy. Poprawiał właśnie swoją zieloną chustę na głowie i kolczyk na uchu. Pirat – pomyślał na początku Marcin i zaśmiał się pod nosem. Przebywał tu każdego wieczoru, opowiadając o zatopionych szwedzkich okrętach i o tym jak stracił oko w bitwie. Teraz przesiadywał już na emeryturze, a za pieniądze, które mu zostały mógł sobie pozwolić od czasu do czasu na jakieś wygody...

– Marcin Seradzki? – z niedowierzaniem dopytał karczmarz głośno, co nawet sam właściciel imienia usłyszał i się zdziwił, bo od razu odwrócił głowę w ich stronę. – To ten! – wskazał ręką.

Marcin poczuł się dziwnie, nie rozumiał o co chodziło karczmarzowi. Jakub Kettler popatrzył na skutnika i uśmiechnął się tajemniczo. Rajtarzy popatrzyli jeden po drugim na niego. Strach go obleciał, bo myślał, że panowie coś do niego mają. Pierwszy raz widział ich na oczy, a mimo to spodziewał się kłopotów. Serce stanęło mu w gardle. O co mogło im chodzić? – zastanowił się. Kettler wstał, zamówił dwa kufle rumu i podszedł do ławy, przy której siedział Marcin. Karczmarz pobiegł spełnić polecenie, tak jak życzył sobie pan Kettler. Marcin, siedząc i spoglądając na kurlandzkiego księcia, czuł się trochę nieswojo. Oczy innych przesiadujących w tawernie zwróciły się teraz na niego.

– Jesteś skutnikiem, a raczej byłeś nim, prawda? Nazywasz się Marcin Seradzki? – zapytał spokojnie, spoglądając na karczmarza, który nalewał trunku do kufli.

– Tak, to ja i jestem skutnikiem, a raczej byłem – odparł, odkładając wypaloną fajkę. – Ale dlaczego cię to interesuje?

– Bo widziałem co potrafisz! Widzisz, ty potrzebujesz pomocy i ja jej potrzebuję. Możemy sobie razem pomóc! Wyobraź

sobie teraz, co mógłbyś osiągnąć, jeśli znalazłbyś dobrą robotę w swoim fachu. Mógłbyś osiągnąć sławę i wielkie pieniądze. A z budowy małych statków handlowych nic nie osiągniesz. Widziałem jak budowałeś kiedyś dwa galeony wojenne dla wojska polskiego. Sprawdzalem cię. Pytałem i wiem, że uczyleś się u angielskiego mistrza w Bristolu. Zapewne dobre dzieje, przeszłe już w twoim życiu. Henryk mi o tym opowiadał, twój wuj. Zналиśmy się bardzo dobrze. Angielski mistrz nauczył cię budowania wielkich okrętów. Zbudowałeś jedną fregatę w Bristolu, zbudowałeś dwa galeony tutaj, a i tak cię nie doceniono. Ja nie popełnię tego błędu.

Marcin Seradzki siedząc i wsłuchując się, zrozumiał, że Jakub Kettler proponuje mu robotę w jego stocznicach. Praca u księcia, mogła dać mu dach nad głową i pieniądze, których tak naprawdę potrzebował i książę to zauważył. Nie ukrywał szoku, że jego problemy mogłyby się w tak łatwy sposób rozwiązać. Ale trzymała go tutaj jedna rzecz. Wygoda i chory wuj. Zaczął namyslać się, czy lepiej nie będzie zostać. W końcu może by mu się poszczęściło. Nie znał życia, które zaoferował mu Jakub Kettler. Obawiał się go. Praca kusząca, ale musiałby opuścić Gdańsk na wiele lat. W Bristolu przebywał dwa lata, tam miałby stałą pracę. Marzył o podróżach, ale kiedy ktoś mu to zaproponował, owładnęła go niewiedza. Najłatwiej byłoby odmówić, ale musiał to przemyśleć. Podrapał się po brodzie i odezwał się do księcia:

– To trudna decyzja, na pewno nie na jedną noc! Daj mi to przemyśleć, wielki książę, ale nie nastawiaj się na to, że się zgodzę. To nikła szansa. Ale to jest jeszcze do przemyślenia! Widzisz, mój wuj jest chory, a ja muszę się nim opiekować. Nie potrafię sobie wyobrazić co mnie czeka i choć marzę o przygodzie i chciałbym zwiedzić trochę świata to teraz obawiam się, że to jest niemożliwe.

– Daję ci dwa dni, potem ruszam do Warszawy na dwór króla Władysława! Będzie wtedy za późno, a ja będę musiał

znaleźć kogoś innego – książę z niechęcią dopowiedział ostatnie słowa, tak jakby Marcin był jedyną osobą, której mógłby zaufać.

Karczmarz przyniósł dwa pełne kufle tak jak prosił Jakub Kettler. Książę przesunął jeden po stole w stronę Marcina, ale ten odmówił. Pomyślał – nie wypada takiemu człowiekowi. Ale potem uznał, że wypił już za dużo i musi wracać. Książę zauważył zuchwałość i zdecydowanie szkutnika, co nawet mu się spodobało. Potrafi odmówić mi, jest człowiekiem silnym i ma talent – pomyślał Jakub Kettler. – Byłby świetnym partnerem do współpracy. Kimś, kogo potrzebuję!

Marcin poprawił sakiewkę u boku i przesunął się do wyjścia. Pożegnał się z nowo poznanym księciem i podał rękę na pożegnanie karczmarzowi. Odsunął się, kiedy do tawerny wszedł bogaty kupiec w całkowicie białych od śniegu butach. Patrząc przez otwarte drzwi, Marcin jeszcze bardziej chciał zostać w tawernie, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Opatulił się płaszczem, założył kapelusz i zamierzał już wyjść, kiedy pojawił się posłaniec od lekarza. Młody, terminujący chłopak, syn bogatych rodziców. Szlachcianki, którą Marcin dobrze znał. Kiedyś starał się o jej względy, ale ona go odrzuciła na powitaniu.

Marcin wiedział po minie posłańca o co chodzi. Ale chciał to usłyszeć z ust młodzieńca. Czekał na jego słowa, lecz zdyszany i przestraszony chłopak nie wiedział jak to ująć. Po drodze został napadnięty, a płaszcz mu zabrano. Był zziębnięty i przeziębiony. Kichnął dwa razy zanim wydusił to, z czym przyszedł.

– Twój wuj... nie żyje – odparł, mocno się krztusząc.

Marcin stanął twardo na ziemi.

Jakub Kettler, patrząc na szkutnika złożył mu kondolencje. Seradzki przełknął ślinę i wyszedł. Tak po prostu. Teraz i tak było mu wszystko jedno. Ale zapamiętał sobie słowa księcia. Przez kolejne dni nie dawała mu spokoju chęć wyprawy i poznania czegoś nowego.

Długa i męcząca podróż

Ciało wuja leżało bezwładnie na łóżku. Pan Tomasz – sąsiad Marcina i zarazem lekarz opuścił dłonie i usiadł na krześle, które stało obok łóżka. Robił wszystko co w jego mocy. Próbował ratować dobrego pana Henryka Seradzkiego, ale nie było już ratunku. Napocił się niezmiernie, ostatnich dni sam nie przesypiał, bo zależało mu na życiu swojego pacjenta. Pan Seradzki miał swoje lata, bo miał ich aż sześćdziesiąt osiem. Dużo, jak na te czasy – oznajmił potem lekarz. Marcin, spoglądając na człowieka, który uratował go w dzieciństwie, uronił łzy. Jego wuj przygarnął go, kiedy rodzice zostawili jego małego na zimnie na pastwę losu. A tamta zima była srogą zimą. Wystarczyła chwila i dziecko zamarzłoby lub umarło z głodu. Marcin tego nie pamiętał, ale wuj mu o tym powiedział. Łaskawy pan Henryk Seradzki przygarnął jednak dziecko, a w zemście zabił w walce swojego brata i dopadł bratową, kiedy spotykała się ze swoim kochankiem. Ich też pozabijał. Trzy nowe groby wykopano pod Warszawą w nieposwieconej ziemi. I o trzech grobach zapomniano tamtej zimy. Na tym się jednak nie skończyło. Morderstwo było zbrodnią i trzeba było odnaleźć winnego. Henryka Seradzkiego przeprowadzono przed oblicze sędziów. Jego sprawa ciągnęła się miesiącami. Jako husarz jednak wykupił swoją wolność. Niezliczone sakwy dostały się w ręce sędziów. Sprawę umorzono, a oficjalne orzeczenie brzmiało, że morderca uciekł za Morze Czarne. Jednak brutalne i awanturnicze życie pana Seradzkiego nie polegało tylko na tym. W przeszłości, przed 1605 rokiem, wylądował w więzieniu za kradzieże i oszustwa na lichwiarzach. Służba w formacji husarskiej uratowała mu życie.

A sprawę morderstwa jego brata nie wyjaśniono. To było piętno na całe życie dla Henryka. Wiedział, co zrobił i miał wyrzuty sumienia. To, co zrobił, przypominało mu się kiedy spoglądał w lustro. Nie potrafił tego robić. Lustro było odzwierciedleniem jego zła. Miał przed oczami twarz zabitych. Dziękował jednak Bogu, że Marcin mógł żyć i mógł go wychować, a jego rodzicom miał za złe, że chcieli się pozbyć dziecka. Czasem za życia zastanawiał się, czy powinien mieć wyrzuty, jeśli postąpił dobrze w jego mniemaniu. Rozmawiał na ten temat nawet z Marcinem. Opowiedział mu prawdę. I szesnastoletni wtedy chłopak mu wybaczył i wybrał jego, bo to on dał mu dach nad głową i go wychował. Nawet wychował go pod względem religijnym. Marcin należał do osób wierzących i choć rzadko uczęszczał na msze, to starał się często modlić i przestrzegać postów. Wybaczenie było jednak jego największą zmurą. Marcin wybaczył Henrykowi, ale nawet nie odwiedził grobów prawdziwych rodziców. Zarosły gdzieś i wszyscy zapomnieli, że zginęli śmiercią tragiczną. Marcin wiedział gdzie owe groby się znajdują. Ale nie zamierzał się tam wybierać.

Marcin, wspominając wuja, kręcił się po pokoju niespokojnie. Lekarz spakował swoje rzeczy i opuścił dom. Marcin oczywiście mu zapłacił za pomoc. Przed wyjściem złożył kondolencje Marcinowi, ale ten chciał pozostać sam. Trzeba było złożyć ciało Henryka do grobu. Marcin siedział kolejne godziny przy ciele i wspominał słowa wuja. Kazał mu on korzystać z każdej okazji, która nadarzy mu się w życiu. Wuj pragnął, by Marcin spełnił swoje marzenia i przed tym jak zapadł w głęboki sen, a dusza jego błąkała się w innym świecie, powiedział mu, że nie powinien przejmować się tym co mówią ludzie, ale miał im zaimponować, spełniając te marzenia i zyskując przyjaciół. Wtedy się jeszcze wahał. Marcin otarł łzy, usadowił się wygodnie w fotelu i rozmyślał. Nerwy i dużo spraw wywoływały u niego dreszcze. Ręce trzęsły mu się niespokojnie. Potem

Marcin rzucił krzesłem w ścianę i roztrzaskał je na kawałki. Wspominał podróże i polowania z wujem. Wspominał żonę Henryka, która także się nim zajęła.

Marcin wyjął ostatnią sakiewkę ukrytą pod deskami w podłodze, dorwał się do rapiera, który wuj zawsze zabierał do bitwy i postanowił coś zjeść. Jadł, spoglądając na rapier. Nie umiał posługiwać się dobrze bronią, ale wiedział, że warto ją mieć przy sobie, bo czasy były niepewne. Może zaciągnę się do wojska – pomyślał. Potem odrzucił tę koncepcję, twierdząc, że tak sławy nie zdobędzie. Bo tu o sławę chodziło, a nie o żołd, który dostałby w armii. Wolał usłyszeć o sobie na kartach historii niż skończyć w ubłoconej ziemi pełnej trupów, gdzie królowie i hetmani zdobywają rozgłos, a prości żołnierze giną, mordując się nawzajem. Kiedy skończył jeść, ubrał się i wyszedł z samego rana załatwić sprawy pogrzebowe. Trzeba było odprawić mszę i opłacić grabarza. Ksiądz, dowiadując się o śmierci Henryka Seradzkiego, nie mógł uwierzyć, że wielka legenda polskiej husarii nie żyje. Informacja rozniosła się szybko na cały Gdańsk. Ludzie plotkowali. Mówiono o tym, że Henryk nie żyje, a Marcin niedługo straci wszystko przez swoje marzenia. Seradzki, błąkając się po mieście słyszał o tym. Do tego zdarzyło mu się wstąpić do ulubionej tawerny. Dosiadł się do wolnego stolika i zamówił kufel piwa i dobrą pieczeń. Miał za złe ludziom, że gadają. Czuł się jak pośmiewisko. Henryk umarł, a on sobie nie poradzi. Był przecież normalnym człowiekiem i skreślili go tylko dlatego, że miał inne poglądy i marzenia niż inni. Ale nie zamierzał się poddać. Nie warto było się załamywać. Lepiej jest walczyć o swoje.

Siedząc, rozglądał się i szukał znajomych twarzy. Przy stoliku obok zauważył dwóch mężczyzn grających w karty. Panowie szlachcice popijający trunek i uprawiający hazard. Jeden miał ubrudzony od błota na ulicach kontusz. Zima tego roku jest sroga – pomyślał Marcin. Za Seradzkim siedział żołnierz, który

odpoczywał po wypełnionej służbie. Miał na sobie kolczugę, a na głowie nosił kaptur kolczy, który Marcinowi przypadł do gustu. Żołnierz przyszedł się tu najeść dobrej strawy, a i koń, na którym podróżował, musiał odpocząć.

Marcin jak zwykle zjadł, wypił trunek i zapalił fajkę. Karczmarz dosiadł się po chwili i postanowił przekazać wieści od Jakuba Kettlera:

– To dobry pan, wysoko postawiony, praca u niego może ci pomóc spełnić twoje marzenia. Dobrze wiemy, że pan Kettler potrzebuje wielkich galeonów do podróży za ocean. Planuje rozszerzyć kolonializm i po tych próbach, które dotąd mu się nie udały, w końcu nadejdzie i jego czas. A ty mógłbyś być przy tym. Masz jego poparcie, bo potrafisz budować okręty. W Anglii się nie marnowałeś, tu możesz jedynie zgłosić się do armii i wysłać cię na południe. Ale po co ci to? Chcesz walczyć na pierwszej linii i zginąć jako mało znaczący żołnierz od pierwszej kuli, która ci wyrwie serce, czy może wolisz budować i zarabiać. Pan Kettler oferuje ci przygodę, której nigdy nie zapomnisz, a ty się wahasz? Zbudowałbyś mu imperium i patrzyłbyś na to swoimi oczami. Masz dar do nauki języków! Jakub Kettler cię polubił. Być może nikt w życiu ci nie da już takiej okazji. Wyjedź i przywieź mi garść piachu z dalekich kolonii. Dobrze się nad tym zastanów! – zapalił fajkę i siedział, spoglądając na Seradzkiego. Obaj zadymili tak w tawernie, że żołnierz siedzący z tyłu zaczął się krztusić.

– Zastanowię się, ale póki co potrzebuję chwili odpoczynku, mam wiele spraw na głowie, a pogrzeb Henryka sam się nie zrobi – odparł, podrapał się po głowie, nałożył kołpak i wyszedł z tawerny.

Zima odbiła piętno na jego zdrowiu. Nabawił się kataru, a i głowa bolała go od załatwiania spraw. Po drodze spotkał szlachciankę, która złożyła mu kondolencje z powodu straty wuja. Marcin kojarzył ją, ale mało z nią rozmawiał

w przeszłości. Miała około tylu lat, co pan Seradzki. Kobieta miała na sobie spódnice zdobioną haftem i gorset. Na głowie, tak jak pan Seradzki, posiadała kołpak zasłaniający jej złociste włosy. Marcin postanowił z nią pospacerować po porcie, doglądając mew i wspominając dawne czasy. Szlachcianka, której Seradzki nawet nie znał imienia, życzyła panu Seradzkiemu jak najlepiej. Potem odprowadził ją do domu, kiedy uznała, że jest za zimno.

Nad Bałtykiem zerwał się silny wiatr. Marcin Seradzki rozejrzał się po okalających go lokalnych portach rybackich i wysokich domach. Stocznia, w której pracował, była zamknięta. Chciał porozmawiać z właścicielem i zabrać kilka zapisków i dzienników, które prowadził Marcin. Ale uznał, że nie przydadzą mu się w tamtym momencie i po prostu sobie poszedł.

Wrócił do domu, skąd zabrano ciało jego wuja. Wiedział, że karczmarz ma rację. To była jego szansa i coraz bardziej się kusił na to życie. Bał się opuszczać dom, bo wiedział, że pod jego nieobecność nic z niego nie zostanie. Ale fakt, że mógłby coś udowodnić go radował. I choć był to czas żałoby, to Marcin dobrze wiedział, że rozczulanie się nad sobą nic mu nie da. Musiał działać. Miał już trochę lat i dużo doświadczenia. Jeśli chciał wykorzystać dobrze kolejne lata to właśnie miał okazję to zrobić. Teraz pozostało mu odpocząć i rano pomyśleć realnie nad tym.

Zasnął, odsypiając nieprzespane noce. Rankiem wybrał się na pogrzeb. Zjechali się naprawdę praktycznie wszyscy szlachcice z Gdańska. Znajome twarze. Nawet pan Kettler się pojawił z obstawą. To wtedy Marcin miał okazję porozmawiać z księciem kurlandzkim i tak właśnie zrobił. Po złożeniu ciała do grobu podszedł i na przybity wyraz twarzy pana Kettlera odparł:

– Jadę z wami! – powiedział to z pełną odpowiedzialnością. Chciał przynajmniej tak dać do zrozumienia, że nie ma czasu